DZIŚ I JUTRO



ROK IV. 1. STYCZNIA 1928. Nr. 1.

Cena numeru pojedynczego 60 groszy.

DZIŚ I JUTRO
PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ
WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK IV. 1. STYCZNIA 1928. № 1.

ROK NOWY.

...I idzie cichy — mgłą osłonięty,
Nieznany okres życia nowego...
A duch człowieka lękiem przejęty,
Daremnie szuka promienia jasnego,
Któryby rąbek odsłonił zorzy,
Odsłonił czasu tajemne dzieje.

O spójrz człowieku! — tam promień boży
Rozświetlił cienie — już blask widnieje...
A tą jasnością, tem światłem słońca,
Tem rozwidnieniem tajni przyszłości,
Tem niezawodnem szczęściem bez końca
To wzrok nadziei, wiary, miłości.

M.

SFINKS.

Z mrocznych głębin księżycowej nocy, z pozaświatowych tajemnych przepaści, idzie cicho kończący się rok, piaskami pustyni ku bezkresnym dalom wieczności...

Idzie cicho i niepostrzeżenie, jak widmo. Szerokie skrzydła rozwinął po krańce widnokręgu i włóczy je ze sobą jak cień. A pod tem dotknięciem niedostrzegalnem nie zmienia się nic na pozór.

Jeno gdzieniegdzie kamień odrywa się od potrzaskanej kolumny, ledwo dostrzegalne pęknięcie rysuje się u podnóży ścian świątyni, gdzieś w zapomnianych bibljotekach przypruszają się pyłem zwoje zaginionych papirusów.

W nagiej pustyni bezszelestne pióra zacierają wczorajsze ślady. Skały wietrzeją zwolna, podmyte piaskiem kości niegrzebione znajdują mogiły w płowych całunach.

Z mrocznych głębin księżycowej nocy idzie kończący się rok...

. . . .

Szerokie, bezszelestne skrzydła trącają w locie milczącą twarz Sfinksa. Do dawnych szczerb, do dawnych blizn dodaje się jedna, maleńka, niedostrzegalna rysa...

kroby piasku, podmywające miarowo stopy jego, iż spojrzeć na nie nie raczy?

Czy może gardzi tym wczorajszym światem on, którego początek tonie w chaosie legendy?

Może mu smutno bezdennie, że się został tak, sam jeden, podczas gdy wszystko wkoło wymarło?...



i idzie dalej niepowrotny czas ku dalom wieczności.

Sfinks nie drgnął. Zagadkowy uśmiech nie zszedł z jego kamiennej twarzy. Oczy wpatrzone w księżycowe dale, zdają się nie widzieć nic z teraźniejszości.

— — — — — — — — —

Jak on już dawno stoi tak, milczący, uśmiechnięty, przyczajony w cieniu nad pustynią?

Wiele już lat przeszło obok niego, nie budząc go z zadumy?

Wiele lat stać jeszcze będzie, strasząc przechodniów zagadkową twarzą?

Czy wieki dla niego są już jako te mi-

Kiedyś, kiedyś w mrokach przeszłości stał on jak dziś, nad pustynią.

Ze skał pobliskich wędrowały wówczas głazy olbrzymie na barkach niewolników, a na widnokręgu zwolna formowały się trzy trójkąty piramid... Ze świątyń dalekich wiatr przynosił echo tęsknych pieśni, faraonowie o długich oczach i miedzianej cerze przejeżdżali w orszakach złocistych. Życie wrzało, wznosiło się i rosło z tytaniczną siłą postępu.

A Sfinks jak dziś, stał nieruchomy, zapatrzony w dale niezmierne. Faraonowie pokładli się w swych grobowcach kamiennych; epoki następowały jak fale, zacie-

rające nawzajem ślady po sobie — a on oczu oderwać nie mógł...

Na gruzach starych stolic pobudowały się nowe miasta. — Coraz to nowe twarze przesuwały się w tragicznym kalejdoskopie.

Przeszło tu najpierw niszczące, półdzikie mrowie barbarzyńców; przyszli Grecy o jasnych włosach i dźwięcznej mowie, żydzi krzykliwi, rzutcy i ubodzy.

Stalowe legjony rzymskie zmierzyły pustynię rytmicznym marszem, Arabowie w białych zawojach wałęsali się po płowych piaskach. Wreszcie fala bezbarwnej, beznarodowej cywilizacji zalała zwolna te smutne obszary.

— — — — — — — — —

A Sfinks zdaje się nie spostrzegać. On odwieczny, milczący i nieruchomy, zdaje się nie słyszeć, że u stóp jego kotłuje się i burzy jednodniowe mrowie ludzkie, dążące gorączkowo do swych jednodniowych celów.

Wysoko na tle srebrzystego nieba, rysuje się ciemną masą ta głowa ogromna, wzniesiona nieco ku górze. Szeroko otwarte źrenice wypatrują z natężeniem sine dale. Lata mijają po latach, czas bije go skrzydłami, słońce zachodzi w piaski gorące, księżyc zalewa go światłem, a on milczy zapatrzony i oczu oderwać nie umie.

Co on wypatrzył tak od tysięcy lat cichej kontemplacji?

Może wzrok jego wysiłkiem wiekowym przebił wreszcie doczesne obsłony i rąbek wieczności ukazał się kamiennym źrenicom?... ...Może widzi rzeczy, o których nie śni się nam, którzy w niewoli czasu jesteśmy?...

Więc zachwycona twarz jego ku ziemi już zwrócić się nie może... i stoi taki kamienny i niezrozumiały, głuchy na szykany pustynnego piasku, rozkochany w swojej wizji tajemnej...

S. M. T.

COŚ O TOTEMIŹMIE.

Yyrks! Yyrks! Year! — wibrowały przeraźliwe okrzyki — ptactwo leśne i zwierz uciekało, łopocząc wśród gałęzi, skacząc przez wystające korzenie drzew i sploty wijących roślin...

Yyrks! Yyrks! młody indjanin biegł jak szalony, w elastycznych podskokach, sunąc ze zręcznością śliskiego węża wśród gałęzi i krzewia... Od czasu do czasu rzucał w górę oszczep, a wtedy ryk jego stawał się jeszcze przeraźliwszy, a gibkie ruchy wprawiłyby w zazdrość gimnastyczkę puszczy, matkę... Długie włosy, lekki strój — wszystko żyło — w ruchu... Oczy lśniły połyskami bronzu...

Las był coraz rzadszy — już przezierała stal wielkiej wody, co leżała rozlana wśród ścian granitowych... Talabsa rzucił się na ziemię; leżał, jak martwy — krew sączyła z poranionych wśród biegu rąk i nóg, skrzepła krew znaczyła głębsze rany, jakby od biczów ostrych, co zesmagały ciało.

Przed oczyma latały mu czerwone płaty... Jeszcze tej nocy... opodal od wigwamów osady zapalą się stosy gałęzi... a on, już jako członek klanu „Węża Olbrzymiego“ będzie skakać przy łomocie bębnów i krzykach towarzyszy... a przedtem... nieprzytomne od uniesienia oczy jego ujrzą orende, ręce jego dotkną orende... i orenda będzie odtąd tak jego, jak była jego ojca.., i dziada... i pradziada... Wśród rytualnych dymów i dzikiej pieśni tajemniczy kapłan Olbrzymiego Węża wyryje mu na ciele niezatarte znamię Węża...

„Wąż olbrzymi“ skoczył na równe nogi, błędnym wzrokiem szukając wkoło kogoś, kto mu tak huczał to imię — tylko woda leżała cicho, jak przedtem... a górska koza uciekała, nie tykając prawie skał

nogami... Spojrzał na słońce, co się już wznosiło wysoko, znacząc czas do odwrotu — obejrzał okolicę, szukając kierunku do osady i wkrótce zginął wśród gąszczu...

*

„Coś o totemiźmie"! — to całkiem niełatwa sprawa powiedzieć „coś" o tem zjawisku, tak dziwacznem nieraz w swych różnorodnych przejawach, jak ta dusza dzikiego i jak ta bujna przyroda, co go otacza... a jeszcze trudniej odszukać ukryte w mrokach przeszłości i instynktów duszy pierwotnej początki i źródła tych wierzeń i obrządków.

Badania naukowe nad totemizmem są stosunkowo niedawne, a trudności stawały badaczom olbrzymie z powodu niedostatecznej znajomości języków przeróżnych plemion pierwotnych, oraz tej osłony tajemniczości, którą okrywają oni często przed okiem obcego swe mgliste, dziwaczne wierzenia.

Totemizm wykryto zwłaszcza wśród plemion indyjskich Ameryki północnej i szczepów środkowej Australji, choć w pewnych swych, cząstkowych przejawach, jest on zjawiskiem dosyć powszechnem u ludów pierwotnych.

Wybitniejszym badaczem totemizmu był Frazer, interpretatorem raczej — Dürkheim, obaj usiłowali doszukiwać się w nim pewnych pierwiastków, tworzących religję — i obaj, niestety, zbłądzili w swych teoretycznych wnioskach (Frazer odwołał je przed śmiercią). Nazwa „totemizm" pochodzi od słowa „totem", wyrażającego w języku jednego z plemion amerykańskich pewne wyróżnienie: „to twoje — to moje". Polega on na tem, że jakieś grupy społeczne, a więc przedewszystkiem klan, jako pierwotna jednostka tychże, uważają się za spokrewnione z jakimś przedmiotem martwym, siłą przyrody, rośliną, a najczęściej zwierzęciem. Pokrewieństwo to w ich pojęciu odnosi się nie do jednostek danego gatunku, ale do gatunku całego. Dzicy szukają wytłumaczenia początków tego pokrewieństwa w podaniach o jakichś przodkach z zamierzchłych czasów, co mieli moc przemieniania się w dane zwierzę, lub o jakichś istotach nieokreślonych — coś ni zwierzę, ni człowiek, z których potem, przez szereg zmian, tajemniczemi siłami dokonanych, powstali ludzie klanu i t. p.

Zwierzę takie, czy roślina jest dla członków klanu, którego ono jest totemem, świętem, nie wolno go zabijać, chyba dla jakichś uroczystości rytualnych, dla pogłębienia węzłów wspólnoty.

Jeszcze bardziej, niż zwierzę samo, otoczony jest czcią znak — churinga [1]), t. j. rodzaj tabliczki z drzewa lub kamienia, na której wyryty jest obraz totemu — jest on sztandarem na zebraniach klanu, w wojnie przynosi mu zwycięstwo, posiadać ma moc cudowną leczenia ran, odwracania nieszczęść itd.

Miejsce, gdzie bywa złożone churinga, uważane jest za święte, zwierz czy człowiek, co się tam schroni, jest bezpieczny i nietykalny. Kobietom, które nie mogą brać udziału w obrzędach, ani widzieć churinga, nie wolno też zbliżać się do takiego świętego miejsca.

Churinga jest wogóle ośrodkiem kultu, przedmiotem, zawierającym jakby w sobie całą moc nadziemską wyrażonego na nim totemu. Znak totemu umieszczają członkowie klanu na swej odzieży, na mieszkaniach, ryją go na swem ciele przy obrządku przyjęcia młodzieńca doszłego do pewnego wieku w łono klanu, na znak węzła wspólnoty, jaki zadzierzga on przez to z totemem — i z temi ukrytemi siłami, co istnieją jakby rozlane na zespół churinga, zwierząt i ludzi... Do takiego, najważniejszego w swem życiu aktu, przygotowuje się młodzieniec przez przebywanie czas jakiś w samotności, w puszczy, gdzie przez posty i różne praktyki strasznych nieraz umartwień cielesnych wprowadza siebie w pewien stan szału.

Jak głęboko sięga pokrewieństwo z totemem, dochodzące aż do pewnego utożsamienia się z niem, dowodzi powiedzenie pewnego dzikusa; należał on do klanu

---

[1]) Nosi on nazwy rozmaite u różnych plemion; nazwa „churinga" zaczerpnięta jest z Australji, „orenda" z Ameryki płn.

Kangura. Uczeni Spencer i Gillen, chcąc wybadać jego przekonania, pokazali mu pewnego razu jego fotografję; dziki obejrzał ją i zawyrokował: „To jest to samo zupełnie, co ja — i to jest też to samo, co Kangur“...

Nieraz uważają się dzicy za złączonych specjalnemi węzłami nietylko z jednym gatunkiem totemu, lecz dzielą wszelkie przedmioty i istoty, co ich otaczają, na bliskie sobie i obce. Jest to psychologicznie zrozumiałem, że człowiek pierwotny, żyjąc wśród przyrody, której poznanie i opanowanie jest u niego dopiero w zaczątku, wciąż domyśla się wokół siebie jakichś ukrytych w przedmiotach i istotach potęg przyjaznych lub wrogich, przeczuwa on też istnienie ponad niemi jednej, najwyższej potęgi, co każe wiatrom wiać i gromom ryczeć, tworząc sobie w ten sposób pewien pogląd kosmologiczny.

W tłumaczenie naukowe początków totemizmu, oparte, oczywista, jedynie na hipotezach, wdawać się tu nie będziemy — teoryj odnośnych zbyt jest wiele i zwalczają się wzajemnie — wspomnieć można o teorji Frazera, tłumaczącej rzecz tę w sposób następujący: oto ludzie, dla odróżnienia siebie wzajemnie, już od zarania kultury nadawali sobie jakieś imiona — człowiek pierwotny czerpał je z otaczającej go przyrody. Zjawisko powszechne bardzo kultu przodków, prowadziło dalej do otoczenia czcią zmarłego, który nosił n. p. imię Sowy, Kangura itp. — z biegiem czasu zatarła się świadomość, że „Sowa“ — to był człowiek tego imienia, a została cześć Sowy i poczucie pokrewieństwa z nią, jako z totemem.

Totemizm, jak wszelkie wogóle przejawy myśli i ducha ludzkiego od zarania cywilizacji aż do jej dnia pełnego, wart jest badania i dużo ciekawego materjału przynosi etnologji, należy jednak być bardzo ostrożnym w wyciąganiu zeń wniosków teoretycznych, czego, niestety, nie przestrzegali różni uczeni. Z polskich autorów znajdzie się rozdziały o totemiźmie w książce ks. Radziszewskiego „Geneza religji“, oraz ks. Kruszyńskiego „Początki religji“.

Christofora.

CÓRKA ZBÓJNIKA.

W górach olbrzymich, w świerkowych borach, kędyś, daleko od świata, była osada zbójnicka. Szło się do niej wąwozem zawalonym kamieniami, po zboczach osypującego się gruzu, gdzie tylko giemzy i kozice ścieżki swoje znały.

Do samej jaskini wchodziło się najpierw podziemnym korytarzem, poczem skały rozszerzały się nieco, tworząc jakby mały przedsionek. Przez otwór, zawieszony oponą, wchodziło się wreszcie do właściwej izby.

Była ona obszerna i ciemna. W ognisku dogasał płomień i krąg czerwonego światła drgał na glinianej podłodze. Gdy nagły błysk rozświecał nieco pieczarę, występowały z cienia rogi jelenie i łosie, skóry bogate, puhary srebrne i broń, któremi ozdobione były ściany. Na ziemi rozesłane były tapczany ze skór. Kilka zydelków, kilka ław dębowych i wielki stół dopełniały umeblowania.

W jaskini panowała zupełna cisza, i prócz dziewczyny, siedzącej na zydelku przy ognisku, nie było w niej nikogo. Dziewczyna zapatrzona była w płomień. Różowe blaski drgały po jej fałdzistej bogatej sukni, po złotych naszyjnikach i odrzuconych włosach. Czasem, gdy płomień gasnął zupełnie, dorzucała kilka polan drzewnych, poczem siadała znowu z rękoma opartemi o kolana.

Było już późno w noc. W wąskim korytarzu dały się słyszeć kroki jakieś, najpierw dalekie, potem coraz bliższe. Doleciał odgłos rozmów, śmiechu i gwaru: zbójnicy wracali z wyprawy.

Dziewczyna wstała; dorzuciła jeszcze drew do ogniska, poczem cofnęła się



Dziewczyna zapatrzona była w płomień.

w głąb pieczary. Tylko za każdym ruchem złote dreszcze biegały po fałdach jej sukni.

Nagle podniosła się opona ze skór, służąca za drzwi i kilkunastu mężczyzn weszło do izby. Wszyscy byli rośli, barczyści, w różnym wieku. Mieli na sobie szerokie płaszcze, obcisłe spodnie i kubraki ze skór.

Zasiedli na ławach przed stołem, dziewczyna postawiła przed nimi dzbany ciepłego piwa i misy z jadłem, poczem zajęła znowu w milczeniu swoje miejsce przy ognisku.

Tamci jedli, rozmawiając ze sobą i żartując nawzajem, wcale na nią nie zwracając uwagi. Widocznie przywykli już do jej zachowania.

Gdy sobie podjedli, odsunęli ławy z hałasem i jedni po drugich wychodzili do bocznej pieczary. Przed odejściem kłaniali się siedzącemu za stołem hersztowi.

Herszt był chmurny, nieledwie zły.

Odrzuconą w tył, kędzierzawą głowę oparł o ścianę pieczary i przymrużonemi oczyma śledził przechodzących zbójników. Orle pióra u kapeluszy zamiatały przed nim podłogę, zginały się postaci jak smereki wyniosłe gną się przed burzą — a on patrzył na nich pogardliwy, zimny — pan życia i śmierci.

Gdy opona skórzana opadła za ostatnim zbójnikiem i gdy umilkło echo w sklepionym korytarzu górskim, herszt zmienił postawę. Jego ciężkie ramiona opadły na stół, brodę położył na rękach zmęczonym ruchem i patrzył ku dziewczynie.

Ona siedziała ciągle nieporuszona, milcząca, podobna do zaklętej wróżki, strzegącej ogniska.

W pieczarze panowała zupełna cisza.

— Harita — rzekł nagle zbój.

Dziewczyna drgnęła, jak zbudzona z głębokiego snu; rękoma powiodła po oczach i czole, potem wolno podeszła do siedzącego.

— Czego chcesz, mój ojcze? — spytała.

— Harita — od czterech dni włóczę się wśród wichrów, deszczu i niepogody, a gdy wracam zmęczony, ty nie witasz się nawet ze mną. Ja dniem i nocą myślę o tobie, spieszno mi wracać do ciebie, a ty nie masz dla mnie nawet uśmiechu! Już od długich tygodni nie zarzuciłaś mi rąk na szyję — Harita, czemu nic nie odpowiadasz? Czemu tak patrzysz w to gasnące ognisko?

Usunął się trochę, czyniąc jej miejsce koło siebie na ławie. Ona usiadła, a że była mała i drobna, wyglądała przy tym rosłym człowieku jak kruszyna drobniutka i jak dziecko, któremu wyrządzono krzywdę.

— Ojcze mój, — rzekła nagle — siedząc tu długie godziny sama, myślałam dużo, patrząc w ogień. I wiesz co, ojcze? myślałam, że tam, na dworze jest słońce, a tu, w jaskini tak bardzo ciemno. Ja tęsknię do słońca. — Myślałam, że cud-

nieby było, gdybyśmy mieli taką małą chatynkę, tam, na słońcu... przędłabym wełnę owiec naszych, a ty ojcze uprawiałbyś ziemię. Wkoło byłyby inne chaty... Może... za miedzą naszą pasałby bydło jakiś smukły góralczyk i możeby mnie pokochał... Grałby mi na fujareczce w długie wieczory, a kiedyś, kiedyś... przyszedłby ci się o mnie pokłonić. — I bylibyśmy szczęśliwi.

Na przeźroczystą twarz Harity wystąpiły jasne rumieńce, jej ciemne oczy straciły na chwilę wyraz bezdennego smutku, uśmiechała się do swych marzeń jak dziecko do zabawek, widzianych we śnie.

Ale herszt nie dał jej skończyć. Przytulił ją mocno do siebie, tak mocno, że lęk ją ogarnął i począł tłomaczyć z całą gwałtownością swego przekonania:

— Co też ty mówisz, dziecko moje — wyjść na świat, hreczkę siać i za pastucha cię dać, ja herszt zbójecki z dziada pradziada! Nie, nawet ty mnie do tego nie skłonisz. Patrz, w skrzyniach moich niezliczone skarby... co dzień dorzucam złoto do złota. Będziesz mi najbogatszą dziewczyną na ziemi — a kiedyś — hej królewicz jasny na zamek cię zabierze. — Nie, nie, prząśniczki i pasterki nie zrobię z ciebie, złoto moje.

Wstał żywo, po sakwy sięgnął i rozwiązawszy, począł dobywać garściami diamenty jasne jak woda, szafiry iskrzące i krwawe rubiny. Dziewczyna wzięła je w ręce, patrząc w zadumie jak perły płyną jej przez palce, niby wielkie bolesne łzy. Uśmiech zniknął z jej twarzy, była dawną zadumaną, milczącą Haritą.

Nagle krzyknęła. Gwałtownym ruchem odrzuciła od siebie klejnoty, których pełne miała dłonie, tak, że rozsypały się u jej stóp, stukając głucho o skalną podłogę. Brwi jej ściągnęły się boleśnie:

— Ojcze — co to jest? — zawołała.

Na brzegach sakwy i na jedwabnych szatach, które herszt przed nią rozłożył, ujrzała wielkie, ciemne plamy...

Ale on z flegmatycznym spokojem zgarnął klejnoty, związał rzemienie sakwy, którą następnie zaciągnął pod ławę, potem dopiero odpowiedział:

— To nic, widzisz, jakiś smarkacz 17-letni chciał bronić całej karawany. Nic mu się wielkiego nie stało.

I widać musiał mieć stary Arson wesołe wspomnienie z walki, bo wziął się pod boki, począł mruczeć jakieś niezrozumiałe słowa, wreszcie roześmiał się na całe gardło.



Harita stała z twarzą ukrytą w dłoniach

Harita stała z twarzą ukrytą w dłoniach. Przez cienkie palce płynęły łzy jak grad.

— Ach, ojcze — błagam cię, zaklinam! — mówiła jakimś zdławionym głosem.

Nim zdołał się obejrzeć, przypadła mu do nóg i rękoma obejmowała jego stopy. Jasne jej włosy leżały rozsypane w pyle jaskini.

(C. d. n.). S. M T.

GDY OGIEŃ PŁONIE...

Gdy na kominku ogień płonie,
Rozdając błogie ciepło hojnie,
Gdy przebywamy w bratniem gronie,
Gdy nam tak dobrze i spokojnie —

— My pamiętajmy, że na świecie
Wszechwładnej zimy dłoń szaleje,
Że za oknami dmą zamiecie,
Że mróz się sroży i wiatr wieje...

My pamiętajmy, że te ściany
Nie wszystkich chronią w dzień zimowy
I że niejeden człek znękany
Niema gdzie teraz skłonić głowy...

O, że nie jeden, ale krocie
Niema dziś domu ni ogniska...
Że smutnej wdowie i sierocie
Mróz z głodem żalu łzy wyciska...

Gdy na kominku ogień płonie,
Kiedy o zimno niema strachu —
— Módlmy się, wznosząc w niebo dłonie,
Za wszystkich, którzy są bez dachu...

Alina Kwiecińska.

POWRÓT MATKI.

Pewnego południa pan Greliński, wstając od stołu, oznajmił dzieciom:

— Mamusia wraca za trzy dni do domu.

Rozmyślnie powstrzymał się z tą nowiną do chwili ukończenia obiadu, przewidując, jaką ona radość wywoła.

Istotnie: oczy Bożenki zalśniły łzami szczęścia, a Zbyszek, wyściskawszy ojca z takim rozmachem, że omal go nie przewrócił, wybiegł, jak szalony, z pokoju.

— Wiwat! Nasza mamusia wróci pojutrze! — dzwonił wesołym triumfem głosik chłopięcy nietylko w kuchni, ale i w całej kamienicy.

Cieszyła się również Kasia nadzieją powrotu swej dobrej, wyrozumiałej pani; nawet kanarek w klatce, ogólną podniecony radością — zaczął wtórować jej śpiewem, pomimo że się biedak właśnie pierzył.

Tymczasem pan domu zapowiedział córce:

— Jutro raniutko oczyści kaflarz piece, ażeby nam zimą nie dymiły.

Słowa ojcowskie podsunęły Bożence dalszy ciąg naglących zajęć domowych. Jest to przecież czas robienia porządków jesiennych, a mamusia musi znaleźć za powrotem swoim mieszkanie czyste, odświeżone, jak to bywa u nich na Wielkanoc.

Pospieszyła zatem do kuchni, chcąc wezwać Kasię do pomocy przy zdejmowaniu niezbyt świeżych firanek. Zatrzymało ją jednak przy drzwiach głośne zadowolenie kucharki:

— Chwała Bogu, że skończy się nareszcie gospodarowanie tej gąski!

— Aha! To z pewnością o mnie mowa... — pomyślało dziewczę, słuchając ciekawie dalej:

— Bo już miałam z nią nieraz prawdziwe piekło, moja Magdo! Trzeba było raz po raz zbiegać do sklepiku, za każdą drobnostką osobno, że często-gęsto już nóg nie czułam... Kasiu, przynieś pół funta ryżu! Kasiu, zabrakło bułek! Kasiu, zapomniałam ci powiedzieć, że cukru już niema! I tak calutki dzień w kółko. A na codzienny rachunek — to niema się nigdy czasu tuż po moim powrocie z targu, jak to czyni moja dobra pani... Teraz zabiera się do tego dopiero wieczorem, kiedy człek zmęczony pracą, o niejednem łatwo zapomni.

Kucharka, odsapnąwszy chwilę, wyrzekała dalej:

— Nauczyła się niedawno ta koza jakichś tam ciastek. Toż piecze owe gnieciuchy, a piecze, kiedy jej się tylko spodoba, nawet w świętą niedzielę... Tak. A wiele naczyń mi przytem zabrudzi! A wiele plam tłustych zostanie się potem na świeżo wyszorowanej podłodze!

Wzburzona do głębi słuchaczka zawróciła coprędzej do jadalni. Odbiegły ją na dziś odwaga i ochota do współpracy z Kasią.

Celem odzyskania spokoju, Bożenka chwyciła się środka, który przedziwnie koił jej nerwy. Wyszukała kasetkę pełną pastelowych ołówków i zaczęła szkicować na poczekaniu wiązankę kwiatów, zdobiącą jej stolik.

Lecz podczas gdy pod jej ręką prześliczne rozkwitały róże, głos wewnętrzny dowodził młodej malarce coraz dobitniej, iż w wyrzekaniach Kasi tkwiło tym razem sporo słuszności. Że istotnie mamusia obchodziła się z nią oględniej, że więcej pracę jej szanowała.

Chcąc oderwać myśli od niezbyt miłych zestawień, Bożenka zaczęła planować rozmaite przyjemnostki na powitanie mamusi. Ułożyła sobie „menu" pierwszego obiadu, na którym uraczy wszystkich ową własnoręcznie już przyrządzoną leguminą z pianki.

Cóż to będzie za niespodzianka dla pani Grelińskiej! Bożenka umyślnie nie zdradziła się dotąd najmniejszem słówkiem przed drogą rekonwalescentką, iż dzięki zacnej pani Pochmarskiej — rozumie się już niezgorzej na „garnkologji".

Trzeba też będzie kupić kwiaty do ozdoby mieszkania; przedewszystkiem moc ulubionych przez matkę fjołków. Przydadzą się również owoce...

A tu — jak na złość — pieniądze „wiktowe" rozeszły się niemal zupełnie, jakkolwiek za tydzień dopiero przypada koniec miesiąca... Mniejsza z tem: poprosi się ojca o flotę.

Gdybyż mogła biedaczka przewidzieć, jaką burzę tem swojem żądaniem wywoła! Pan Greliński spojrzał na córkę surowo i odpowiedział tonem, którego wyjątkowo tylko używał, a który przeszywał jej serce ostrzem sztyletu:

— Widzę, że nie umiesz szanować ciężko zapracowanych groszy, Bożenko! Przekroczyłaś już dawno wysokość budżetu miesięcznego, który jednakże matce twojej zupełnie wystarcza. Jakbyś nie wiedziała, że właśnie teraz mam szalone wydatki...

Bożenka pobladła i zacisnęła kurczowo usta, ażeby głośnym nie wybuchnąć płaczem. A ojciec dorzucił z goryczą:

— Kiedyż nareszcie pouczać was zaczną w szkole tej zasadniczej prawdy, iż trzeba żyć i gospodarzyć z ołówkiem w ręku! Ot i Romek wciąż narzeka, że żona rujnuje go życiem nad stan. A przecież równowaga budżetu domowego pociąga za sobą równowagę budżetu państwowego. To jasne!

Pan Greliński w podrażnieniu swojem, nie ucałował dziś córki na dobranoc. Rozżalone dziewczę łkało do późnej nocy, kryjąc pałającą twarz w poduszkę, ażeby nikt tych szlochów nie słyszał. Była to dla Bożenki jedna z owych ciężkich chwil, których gorycz i cierpkość nie zacierają się w duszy ludzkiej do końca życia...

Dzień dzisiejszy przekonał ją nazbyt boleśnie, jak trudnem i odpowiedzialnem zadaniem jest należyte prowadzenie gospodarstwa domowego.

Ale nazajutrz nadzieja powrotu matki rozproszyła smutek dziewczęcia.

— Maluczko, a wywietrzeją mi z głowy wszelkie bolączki gospodarskie i ciągłe utrapienia z Kasią! — pokrzepiła się w duchu na dzień dobry. — Matuś zdejmie ten ciężar z bark moich, a ja powrócę do szkoły i zejdę się znów z koleżankami, do których już tęsknię serdecznie. Powrócę tam z błogiem przeświadczeniem, że bądź co bądź starałam się spełniać sumiennie, wedle sił moich obowiązki, które mi tegoroczne wakacje narzuciły. Zbyszek będzie spędzał połowę dnia w przedszkolu pani Lucyny, która z pewnością zechce i Haneczkę zatrzymać dłuższy czas jeszcze u siebie, a to ze względu na zdrowie mamusi.



Bożenka w chusteczce na głowie zaróżowiona, uwijała się w najlepsze.

— Pani przełożona pięknie się kłania i odsyła nas do domu — zaczęła Antolka wyjaśniająco. — Bo dostała niespodziewanie tyle dzieciaków, że dla naszej pieszczotki zabrakło już miejsca.

A widząc istne przerażenie w oczach Bożenki, dodała krzepiąco:

— Pani przełożona mówiła, że panienka umie już pielęgnować siostrzyczkę. Oto list od niej. I ja przecież swoją rzecz rozumiem!

Serce dziewczęcia ogarnął nowy przypływ buntu; doznała w tej chwili wrażenia, iż zamknęły się przed nią podwoje raju szkolnego...

Tak, rzeczywiście: Bożenka umiała już obchodzić się z dzieckiem — ale pod dozorem panny Julji... Odważyła się niedawno wykąpać Haneczkę, to znów wyprała, tak sobie, dla fantazji — jej pieluszki. Spędziła nawet z własnej ochoty, przedostatnią noc przy łóżeczku siostrzyczki. Nikomu się jednak nie przyznała, iż w ciągu dnia wczorajszego — chodziła zmęczona, rozespana...

Zaledwie kaflarz, zrobiwszy swoje, zniknął za drzwiami, młoda gosposia rozpoczęła wielkie porządki w mieszkaniu. Pozdejmowano ze ścian obrazy, większą część mebli zsunięto na środek stołowego pokoju, otwartemi na rozcież oknami ulatywał kurz i pajęczyny, zmiatane gorliwie przez Kasię.

Bożenka w chusteczce na głowie, zaróżowiona ruchem, uwijała się w najlepsze z kąta w kąt, gdy rozległ się naraz przeciągły głos dzwonka.

Dziewczę pobiegło do drzwi wchodowych, lecz otworzywszy je — znieruchomiało. Ujrzała oto przed sobą uśmiechniętą jowialnie karmicielkę Haneczki, z dzieckiem na ręku. Stojący przy niej chłopak dźwigał walizę, zawierającą wyprawkę maleństwa.

Odruchowo przebiegła wzrokiem treść listu pani Lucyny:

„Moja kochana Bożenko!

W ostatnich godzinach musiałam przygarnąć do mojej szkółki tyle chorego lub też osieroconego nagle drobiazgu, iż szczupłe jej ściany nie mogą stanowczo pomieścić wszystkich dzieci, bez naruszenia zasad hygjeny. Więc z bolem serca, oddaję nieco starsze maleństwa przynależnym rodzinom.

Co się tyczy Haneczki, czynię to z zupełnym spokojem, widząc nieraz, jak troskliwą opieką otaczasz, Bożenko, swą delikatną siostrzyczkę. Zresztą wyręczy cię w tem dziś — jutro — twoja mateczka.

Zanim to jednak nastąpi, zwracaj się,

kochanko, do mnie w razie potrzeby, o radę lub pomoc.

Z serdecznym uściskiem
L. Lerska".

Mimo wszystko, czuło się dziewczę dumnem z owego uznania zacnej opiekunki. Umieściwszy narazie Haneczkę w pokoju ojca, który dziś wczesną godziną wyjechał na komisję, Bożenka wróciła do przerwanej pracy.

Lecz dzień dzisiejszy był dniem — niespodzianek.

Spożywszy obiad, Bożenka usiadła przy Haneczce, chcąc trochę wypocząć, a zarazem dozwolić Antolce wyprać bieliznę dziecka. Wtem wesoły głos dzwonka oznajmił gościa.

Do pokoju wpadła jak wicher niska, krępa, rumiana Jadzia z tacką, osłoniętą białym papierem. Siląc się na powagę, nie licującą zgoła z jej żywem usposobieniem, wyrecytowała uroczyście:

— W myśl przyjętego w Polsce zwyczaju, przyniosłam Haneczce słodkiego chlebusia!

Jasnowłosy gość zaczął natychmiast rozpływać się nad urodą dzieciny, która istotnie w ostatnim czasie bardzo wyładniała.

Po upływie kwadransa, dzwonek przypomniał się znowu. Majestatycznym, jak zawsze, krokiem, przestąpiła próg smukła, elegancka Henia, z twarzą ocienioną wspaniałym asparagusem. Musnąwszy lekko zieloną gałązką policzek Hanki, wygłosiła górnolotnie życzenie, ażeby droga życiowa malutkiej obywatelki była stale wyścielona kobiercem kwiatów.

Nie minął drugi kwadrans, gdy zjawiła się niezgrabna, rubaszna trochę Stefa z pudłem cukierków.

Figlarki umówiły się bowiem, że każda z nich uszczęśliwi Bożenkę kolejno, co 15 minut swoją wizytką, a jej malutką siostrzyczkę obdarzy tradycyjnym podarkiem. Rudowłosa Bronia wyhaftowała dla dziecka śliczną kołderkę.

Haneczka była dziś nadzwyczaj grzeczna i słodka; przechodziła bez grymasów z rąk do rąk, wywołując temsamem ogólny zachwyt. Osobliwie garbuska nie mogła wprost oczu od niej oderwać.

— Flory jeszcze niema! — zauważyła nagle Bożenka.

— I nie przyjdzie... — odrzekła Jadzia.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że zdaniem jej, szkoda czasu na odwiedzanie „smarkaczów".

— Bo musisz wiedzieć Bożenko, że naszej Florze spowszedniały już laury sceniczne — śmiała się Henia. — Nęci ją natomiast triumf sportowy. Grywa więc obecnie zapamiętale w tennisa, potem ma przyjść kolej na lekką atletykę.

— O ile nie zgaśnie wpierw ogień jej słomianego zapału! — drwiła Stefa.

Dziewczynki zaczęły odświeżać przed Bożenką wspomnienia dni wakacyjnych.

— Nie uwierzysz, Bożenko, jak szalenie szybko i wesoło zleciał nam cały czas pobytu na kolonji! — twierdziła Bronia. Henia zaś westchnęła melancholijnie:

— Brakowało nam jeno naszej królowej!

A „królowa" rzekła z uśmiechem dumy:

— I ja spędziłam przyjemnie tegoroczne ferje, a co ważniejsze — z wielką korzyścią. Chodźcie, moje drogie, zobaczcie, podziwiajcie!

Otworzyła przed gośćmi spiżarkę, pełną zapasów na zimę. Stało tam mnóstwo słojów z przetworami owocowemi, były przeróżne marynaty, obfity plon godzin, spędzonych w kuchni sędziwej pani Pochmarskiej. Aż ślinka napływała dziewczynkom do ust na widok tylu specjałów.

— No, no, coś mi to wszystko wygląda podejrzanie! — żartowała Bronia. A Stefa szepnęła niby do Heni, ale tak, że ją wszyscy usłyszeli:

— Radzę ci, Heniu, ażebyś szykowała zawczasu suknię na weselisko naszej królowej!

Bożenka roześmiała się serdecznie. Ale równocześnie przez krótki, zaledwie pochwytny błysk chwili — przemknął jej przed oczyma sympatyczny brat pani Lucyny...

Lecz w następnej minucie smutek zamącił wesoły blask fiołkowych źrenic.

Odezwały się bowiem w sercu wczorajsze wyrzuty ojcowskie i dowiodły teraz dziewczynce, iż w nadmiarze gorliwości poczyniła nieopatrznie zbyt wiele owych zapasów, które nadszarpnęły temsamem niemało budżet domowy.

Wrodzona gościnność zniewoliła jednak Bożenkę otrząsnąć się z przykrych myśli. Dziewczę zatrzymało wesołą drużynę na herbatce, a podane równocześnie ciastka, nowych przysporzyły jej pochwał.

Zbyszek chrupiąc przyniesione przez gości słodycze, odezwał się do siostry z wielką powagą:

— Wiesz co, Bożenko? Będę prosił Bozię w codziennym paciorku, ażeby zesłała nam prędziutko drugą siostrzyczkę, albo braciszka!

Wśród ogólnej wesołości Bożenka zapytała:

— Dlaczegóż to, Zbychu?

— Ano dlatego, że jak zjemy te wszystkie łakotki, to wtedy przyniosą nam panienki świeże — odpowiedział malec, nie zbity z tropu.

*

Wybiła nareszcie upragniona godzina, w której pani Grelińska znów się znalazła w swojem państewku.

Przywitały ją czyściutkie, zalane słońcem pokoje, szalona radość dzieci, zadowoleniem tchnące oblicze męża, przymilne słówka Kasi.

Najlżejszy cień nie zamącił harmonji dzisiejszych chwil.

Bożenka sprawiła matce istną niespodziankę umiejętnem obchodzeniem się z malutką, a także swojemi wiadomościami kulinarnemi. To też znalazłszy się wieczorem z córką sam na sam, pani Grelińska, ucałowawszy ją serdecznie, wyznała:

— Trapiłam się w duchu, iż z chwilą przyjścia na świat Haneczki, rozstroją się znów twoje nerwy, Bożenko, jak to było w pierwszym czasie po urodzeniu się Zbyszka... Lecz przekonałam się z wielką radością, że moja najstarsza pociecha potrafi już przystosować się do zmian życiowych.

Dziewczę odpowiedziało bladym uśmiechem, którego znaczenia serce matczyne tym razem nie odgadło.

Nie przycichnął jeszcze w duszy Bożenki bunt, wywołany przedwczesnem odesłaniem Hanki przez panią Lucynę... Tłumiła go jeno w sobie z bolesnym wysiłkiem.

Bo siatka sinawych żyłek na skroniach i rękach drogiej rekonwalescentki, osłabienie, wyzierające z przygasłych, tak lśniących przed chorobą oczu — dowodziły córce aż nazbyt wymownie, iż nie tak rychło jeszcze będzie ona mogła oddać się z dawniejszą swobodą i spokojem życiu szkolnemu.

Wisława.

SŁÓW KILKA REFLEKSJI NA TEMAT „WESELA“ WYSPIAŃSKIEGO.

Przed laty dwudziestu kilku odegrano po raz pierwszy na scenie krakowskiej „Wesele“ Wyspiańskiego. Powodzenie było ogromne. Poeta doczekał się hołdu, którego długo mu odmawiano.

Wbrew krytyce powag literackich, która śmiałość, oryginalność, rzekomą niejasność utworu potępiała, Wyspiański wyrósł na olbrzyma — i świat młodzieńczy począł mu nucić pieśń nieśmiertelności.

Wstrząsnął poeta gmachem współczesnej dramaturgji, nową stworzył technikę tworzenia, nowy ujął moment estetyczny, polegający na kombinacji efektów malarskich i muzycznych, zlewających się z niedościgłą potęgą słowa w wizje o hipnotyzującem pięknie i mocy.

Tak — moc chciał Wyspiański wykrzesać ze społeczeństwa swego — moc do czynu, moc miłości i wiary, że są siły

w Narodzie... niestety martwota otaczającego go świata, brak twórczych pierwiastków, niemoc w działaniu, to wszystko paraliżowało wieszcza i gorżką poiło obawą, że pozew do czynu wywoła tylko ruch chwilowy, bezmyślny, w takt muzyki zagasłych już ideałów. — Nową wznieść pochodnię, nowe momenta twórcze wyzwolić z zaklętych jakichś kajdan, zatrzasnąć wrota zmurszałej przeszłości, a do wyzwolenia odradzającej się Ojczyzny wprzęgnąć nowe siły — oto wielkie idee autora „Wesela".

I zwrócił się po tę moc do silnej dłoni chłopa i zwrócił się po miłość do serca wiejskiej dziewczyny, i zwrócił po pokrzepienie do chaty strzechą krytej, i do borów i ugorów... do świeżości i do życia...

Czy przyszłe lata ziściły nadzieje poety, czy z Ludu wyszła moc i miłość, o której marzył poeta? Czy ujął ktoś „złoty róg"... czyli on do dziś „zagubiony"?...

Nie nad tem pora rozmyślać w tych kilku słowach, jeno złożyć hołd Wyspiańskiemu, że należał do tych, którzy „chcą chcieć", że chciał ludzi tęgich, że zabłysnął ideałem czynu, że czyn ten miał Ojczyznę umiłowaną budować.

Może sielanką jest dziś tylko „wieś cicha, wieś spokojna" Wesela, może nie wiele jeszcze „chat rozkochanych w polskości" i ludzi „sercem prostych", a zdolnych do czynów ofiarnych na rzecz wspólnej Ojczyzny, ale ten wiew świeżości, te kwiaty i krzewy... to słońce i śpiewy... a przedewszystkiem ten głos Archanioła nawołujący do „przymierza" wszystkie stany, ten zew do „jakiejś Wielkiej Zgody", wszak to imperatyw wciąż aktualny, to spętany duch Narodu, który w tytanicznych zmaganiach chce się wyzwolić, chce wykrzesać ideę wszechmiłości, chce wszystkich zjednoczyć do czynu wielkiego, zgodnego: bezinteresownej, łącznej a mocnej miłości ku Ojczyźnie...

M.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

W Genewie sprawy przechylają się na stronę Polski — prawda wychodzi na wierzch. Min. Zaleski podkreślił dobrze w swej mowie pokojowe stanowisko Polski względem Litwy, zaznaczając równocześnie, ile właśnie ze swej niepodległości i wolności zawdzięczała i zawdzięcza teraz jeszcze Litwa Polsce.

Biskupi Polski wydali list pasterski o obowiązkach moralnych katolików wobec nadchodzących wyborów, zaznaczając, jak doniosłemi są wybory obecne, od których zależy uregulowanie tylu ważnych spraw w Polsce, — a jak mówi psalm: „Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno się trudzą ci, co go budują", tak i dobro państwa na nietrwałych stoi podstawach, jeśli się o najwyższe prawodawstwo — Boże — nie oprze.

Polacy z Ameryki zgłosili swój udział do zapowiedzianej na rok 1929 polskiej Wystawy powszechnej — zwłaszcza Chicago bierze się gorliwie do przygotowań, przeprowadzając równocześnie statystykę Polaków w tem mieście; dotychczas obliczono ich na przeszło 104 tysiące; w ręku Polaków jest 27 fabryk, 207 warsztatów rzemieślniczych, setki przedsiębiorstw handlowych. Polacy w Chicago są też, dzięki swej energji i skrzętności, posiadaczami wielkich kapitałów.

Uroczystość sprawdzania miar i wag. W Paryżu zwoływana jest co 6 lat „Międzynarodowa konferencja miar metrycznych". Ostatnia z nich, odbyta w końcu 1927 r. — z okazji 50-lecia istnienia „Międzynarodowego biura Wag i Miar", zgromadziła liczniejszy, niż zwykle, zastęp uczonych i matematyków. — Najważniejszą chwilą uroczystości jest wyjęcie wzoru metra z safesu. Uczestnicy konferencji schodzą w tym celu 3 piętra w dół do podziemi. Każdy z przedstawicieli poszczególnych krajów przywozi z sobą metr

sztandarowy swej ojczyzny, by go z metrem międzynarodowym porównać... Różnica nie może wynosić więcej nad parę stutysięcznych części milimetra. Obok platynowego metra złożone są tam 4 platynowe kilogramy — ponieważ najlżejsze tarcie mogłoby zmienić wagę tych wzorców, jeden z nich wyjmowany jest dla porównań co lat 10, drugi, dla porównania z pierwszych, co lat 100, trzeci ma być wydobywany aż co lat 1000.

W Ameryce odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod olbrzymi most na rzece Hudson, który połączy stany New-York i New-Jersey. Most ten zwieszać się ma z dwu słupów o wysokości 625 stóp — rozpiętość jego obliczona na 3500 stóp — unosić się on będzie paręset stóp nad powierzchnią rzeki. Koszta obliczają na 6 miljonów dolarów, a roboty na 5 lat.

Igła — powszechnie dziś używana, nie jest tak dawnem narzędziem, jakby się zdawało. — W zamierzchłej starożytności używano jako igieł ostrych kamieni z wyżłobionym otworem, przez który przewlekano wysuszone jelita zwierząt. — Potem ubodzy — cierniami, a bogaci — sztyfcikami srebrnemi lub złotemi spinali swe szaty, a dopiero w XV wieku francuski wytwórca drutu, Tourangeau, po wielu namysłach wpadł na sposób robienia igieł. Maszyn takich, jak dziś — nie było wówczas. Wyrób więc igieł był trudny, to też spotykamy je początkowo przeważnie tylko w rękach królowych i księżniczek — a królewskie córy dostają w posagu — pudełko igieł...

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Wincenty Trojanowski: „Wyspiański: Artysta-Człowiek-Życie“.

Piękna monografja Trojanowskiego rzuca jasny snop światła na życie i działalność nieśmiertelnego twórcy witraży wawelskich i franciszkańskich, na autora „Wyzwolenia“ i „Bolesława Śmiałego“.

W ujmujący sposób przedstawia Trojanowski artystyczne zlanie się w działalności twórczej wielkiego poety-malarza motywów malarskich i poetyckich. Jedną i tą samą wielką ideę przekuwał w słowo lub w barwnych oddawał konturach, zarówno pendzlem, jak piórem dziejową przeszłość odtwarzał i wielkie idee przyoblekał w wspaniałe szaty barwnych i świetlnych efektów.

Zarówno „obraz“ Wyspiańskiego, jak jego „słowo“ — to ta sama technika tworzenia, ta sama śmiałość i oryginalność, ta sama moc druzgocąca, ta sama tragedja duszy, która daremnie chce moc i życie wykrzesać z martwoty otaczającego go świata.

Te idee często podkreśla autor w swej monografji.

Przedstawia nam artystę i przedstawia człowieka: piękną, szlachetną duszę, zmagającą się z niedolą życia i pracownika na polu sztuki, który ze stopnia na stopień wznosi się od pierwszych prób młodzieńczych na wyżyny niedościgłego artyzmu.

Ulubioną formą tworzenia Wyspiańskiego jest „wizja“: i idee jego dramatów i witraże w świątyniach — to „wizje jego duszy“, wizje przepojone poezją „szczerej miłości, czystej jak źródło, a gorącej jak promień słoneczny“. *M. El.*

E. Salgari: „Góra Światła“. Powieść dla młodzieży. Z ilustr. Str. 362. Cena kart. zł. 7.50.

Emil Salgari to płodny autor włoski, piszący z rozmachem, a całkiem nieznany czytelnikom w naszym kraju.

Dobrze się stało, że przystąpiono teraz do spolszczenia jego rzeczy i że jak przypuszczamy, na pierwszy ogień, wybrano „Górę Światła“. Jest to awanturnicza wy-

prawa po Kohinoora, najpiękniejszy brylant, znajdujący się w ręku władcy Pennahu. Od zdobycia tego klejnotu zależy, czy szlachetny, lecz nieszczęśliwy Indri stanie się parjasem, czy też zachowa honor i poważanie u swego pana. Mnóstwo przygód przedzieli go od zdobycia Góry Swiatła, a nawet po zdobyciu. Dzięki temu poznamy tajemnice dżungli indyjskiej, tajną wiedzę i sztuczki fakirów i obyczaje mieszkańców. Powieść w najwyższym stopniu emocjonująca, bodaj że więcej od niejednego utworu Verne'a. Ma też znaczenie, jak z powyższego wynika, kształcące i może być śmiało polecana jako lektura stosowna dla młodzieży od lat 13.

J. Fenimore Cooper: „Ostatni Mohikanin“. Powieść w 2-ch częściach. Przekład z angielskiego K. S. Winieta okładkowa i 6 ilustracyj prof. Stan. Sawiczewskiego. Str. 442. Cena kart. zł. 9.—.

Olbrzymie bogactwo literatury dla młodzieży nie przytłoczyło Cooperowych powieści indyjskich. Czyta się je coprawda bardzo często w wydaniach skróconych, zato z mniejszym pożytkiem i słabszem odczuciem stylu i intencyj autora.

Obecnie Księgarnia św. Wojciecha, podjąwszy cykl przygód Sokolego Oka, ogłasza je w całkowitem brzmieniu tekstu. „Ostatni Mohikanin“ jest drugim z rzędu (po Zwierzobójcy) ciągiem Pięcioksięgu.

Role bohaterów w tej powieści dzielą między sobą Sokole Oko i Unkas. Obaj odważni i szlachetni, obaj gotowi do poświęceń. Ale pierwszy, doświadczeńszy i sprytniejszy, umie w boju zachować krew zimną i ostaje się cały i zdrów po strasznych przygodach i zmaganiach, gdy tymczasem Unkas niepohamowaną waleczność Indjanina przypłaca śmiercią.

Młodzież nie powinna wyjść ze szkoły bez znajomości Coopera; dla harcerzy stanowi jego Pięcioksiąg przygód Sokolego Oka poniekąd żywą metodę.

* * *

Polecamy gorąco wszelkim Zakładom naukowym *miesięcznik kościelno-muzyczny:* **„Hosanna“**, redagowany przez Księdza W. Orzecha (Tarnów, Lipowa 21): pismo stojące na wysokim poziomie naukowym, dążące do zreformowania śpiewu kościelnego w Polsce, — w czem nas niestety, już dawno uprzedziła zagranica. Forma estetyczna, artykuły niezmiernie interesujące, całość wielce wartościowa. Numer grudniowy podaje następujące artykuły: „Sursum corda!“; X. J. Matulewicz (Z. Wileńska): „Oracje mszalne“; X. Wł. Wargowski (Kraków): „Giacomo Carissimi-Jefte“; X. W. Orzech: „U ognisk muzyki kościelnej zagranicą“. Nadto: Ankieta, Wydawnictwa muzyczne, Kronika, Spis rzeczy od roku 1926—1927, Przegląd pism. — Dodatek nutowy (co miesiąc) zawiera: F. Nowowiejski: „Rosa mystica“, na organy solo, oraz P. Rizzi B.: „Któż o tej dobie“?“, kolęda na chór męski. Przedpłata roczna 10 zł., półroczna 5·50 zł. — Dla PP. Organistów cena zniżona: rocznie 8·50 zł., półrocznie 4·50 zł.

OD REDAKCJI.

Minęły wesołe święta i Nowy Rok się zbliża. Co on nam przyniesie? Nie wiadomo — to pewne jednak, że los nasz w znacznej mierze od nas zależy. Nie możemy wprawdzie zmienić nieraz biegu spraw, ale możemy sami odpowiednio wobec nich stanąć, ująć je z takiego punktu, że nie szkodliwemi, ale pożytecznemi nam się staną. — Na bok więc wszystkie smutki i trapienia się! Jeśli można złemu zaradzić, to brać się do dzieła — jeśli zaradzić niepodobna, to w siłach ducha szukać mocy do dźwigania krzyża.

Jaskółko, nie przeczę, że zdanie matury jest wielką i pożądaną zdobyczą, ale i bez niej można być szczęśliwą i drugim dużo zrobić dobrego. Bez matury, tylko po ukończeniu kilku wyższych klas gimn. można dostać się do **Szkoły dla pielęgniarek** w Warszawie, w Poznaniu, lub w Krakowie, a po jej ukończeniu otrzymać posady w zakresie szpitalnictwa (pielęgnowanie chorych w szpitalach, sanato-

rjach, szpitalikach dziecięcych), albo w zakresie prac społecznych (posady hygienistek przy województwach, przy szkołach). Osoby mające ukończoną VIII kl. gimn. mają podobno pierwszeństwo przy otrzymywaniu posad. — Bez matury można też dostać się do różnego rodzaju **Szkół przemysłowych** (n. p. w Poznaniu), lub do **Seminarjów gospodarczych i robót ręcznych** — w Krakowie i Warszawie i zdobyć tam kwalifikacje na nauczycielkę w takichże niższych szkołach. Na każdem z tych stanowisk można pracować bardzo pożytecznie. Jest i wiele innych zajęć, którym można się poświęcić, nie mając matury, ale na wyliczanie ich tu braknie miejsca. Napisz, czy coś z wyżej podanego odpowiada Twym zamiłowaniom.

Brzozo i Listku brzozowy za list dzięki. Gawędy umieszczamy, jak na to miejsce pozwoli. Poruszające, bardziej zajmujące myśli, mają pierwszeństwo. Wszystko, co przeznaczone do druku, musi być pisane na oddzielnych kartkach, a nie razem z listem do redakcji.

Krysiu P. w Poznaniu. Dziękuję za miły liścik i na długi, obiecany czekam. Dary dla biednych dzieci nie nadeszły. Czy nie zapomniałaś ich wysłać?

Śnieżko. — Tyle myśli poruszyłaś w swym liście, że nie mogę teraz na wszystkie odpowiedzieć. Zastanawiać się nad sobą, nad swem postępowaniem, poznać swe zdolności i wady — jest rzeczą konieczną, ale naturalnie — strzec się trzeba, by myślenie nie przerodziło się w marzenie, pozbawiające energji. W planie dnia powinien być czas przeznaczony na takie zastanawianie się nad sobą. Trzymanie się wierne planu ustrzeże Cię od wątpliwości, czy nie zawiele nad sobą rozmyślasz. A czy dobrze rozmyślasz — poznasz po skutkach, po większej łatwości unikania złego, a czynienia dobrze. — Inne kwestje omówimy innym razem.

FATALNA POMYŁKA.

Wyobraźcie sobie, że całkiem nie umiem na dziś łaciny! — wołam „wpadając“ na salę jadalną i padam na krzesło, topiąc smętny wzrok w szklance z herbatą. — O! to dla nas nie nowina! Czy ty kiedykolwiek umiesz łacinę? — pyta ze śmiechem Stefa. — Ładnie mnie pocieszasz, nie ma co mówić! — i z poza bułki rzucam Stefie „zabójcze“ spojrzenie. Obie wybuchamy śmiechem. — Ale żart na stronę — mówię, wracając do punktu mojej desperacji, — stanowczo dziś „zryć“ nie mogę! Radźcie, co robić? — Możesz się jeszcze przez pauzę nauczyć! — ze zwykłą „flegmą angielską“ radzi mi Irka. — Także coś! Ja miałabym tę drogocenną chwilę pauzy marnować dla jakiejś tam łaciny? O! niema głupich! — Zemdlej! Potem położysz się do łóżka i jeszcze skorzystasz, bo oprócz deseru zwykłego, dostaniesz kompot! — odzywa się praktyczna Krysia. — Ba! Żebym to ja mogła wyleżeć w łóżku cały dzień — mówię coraz więcej przygnębiona. — Wiecie co? Mam!!! — odzywa się dotąd milcząca Myszka — trzymaj figę!! — Co? Co-o-o? — Trzymaj całą godzinę palce złożone w „figę“ — podobno wtedy żaden profesor nie pyta! — Wybuchamy serdecznym śmiechem. — Wiwat! Niech żyją figi!!! — wołam, i pełna dobrych myśli pędzę do

klasy. — Wiesz Kiba — mówię, biegnąc przez korytarz — nie „zryję“ z łaciny! — Jakto? Czyżbyś umiała? — O to nie ma obawy! Ale nie będę wcale pytana! Mam na to świetny środek! — rzucam tajemniczo i biegnę dalej. Dzwonek. Wchodzi na dozór Matka Jadwiga. — Trzymajcie „figi“! — wołam raz jeszcze do Zośki, Stefy i Myszy. — Hela! Przypominam ci, że jest już po dzwonku! — słyszę karcący głos Matki. Robię więc skromną minę, siadam w ławce i dzielnie „trzymam figę“. — Drzwi się otwierają — wchodzi do klasy profesor. W tej chwili czuję pewne ukłucie w okolicy serca i lekki niepokój. Ale głupstwo! mam przecież figę! Cisza. Książki, notatki pozamykane. Chwila oczekiwania. Profesor rozgląda się po klasie, szukając ofiary... Znalazł! Odpowiada jedna z moich koleżanek, potem druga, trzecia. — — — A jednak „figa“ pomaga! — myślę, odzyskawszy już spokój ducha i rzucam triumfalne spojrzenie w stronę Zośki, — na co ona mi się słodko wykrzywia. Nie mogę już dłużej wytrzymać i „parskam“ śmiechem. Wtem — — o zgrozo! Czy mnie słuch myli?! Niby piorun z jasnego nieba spada na moją biedną głowę straszny pocisk w formie mego nazwiska, wypowiedzianego stłumionym głosem profesora. Wstaję odważnie, wierząc ciągle w potęgę „fig“. O co chodzi? Nie słyszałam pytania! — zarzucam moje koleżanki gradem rozpaczliwych pytań. — Proszę — proszę — — czekamy! — brzmi znowu głos profesora. Niema rady! Trzeba mówić! Wspomagana hojnie przez koleżanki, odzyskuję głos i śmiało plotę „trzy po trzy“. — Ależ proszę pani — przerywa mój zapał zgorszony i oburzony profesor — pani jeszcze nie umie odmieniać „horbus“! — Proszę, proszę! to coś niebywałego!!! — Dziękuję pani! — Stało się! Siadam i zawiedziona w moich nadziejach — puszczam „figi“.

— Nie pomogło! — szepczę złamanym głosem w stronę Zośki. W tej chwili wyrywa ją profesor. Odpowiada — umie! Na korytarzu rozlega się zbawczy dzwonek. Profesor ze swym katowskim notesem wychodzi. — O, figi! figi! — czemuście tak okrutnie mnie zawiodły! Od tej pamiętnej godziny zawsze przygotowuję się na lekcje łaciny, co mi lepiej pomaga, niż wszystkie figi, którym już całkiem nie wierzę!

Z własnych wspomnień nap.:
Hela Dąbrowska, VI kl. gimn.
SS. Urszulanek w Tarnowie.

CZAR GŁĘBI.

Wśród gwiazd złotych, hen, wysoko,
Wśród błękitów jasnych nieba,
Gdzie nie sięgnie ludzkie oko —
Czaru głębi szukać trzeba!

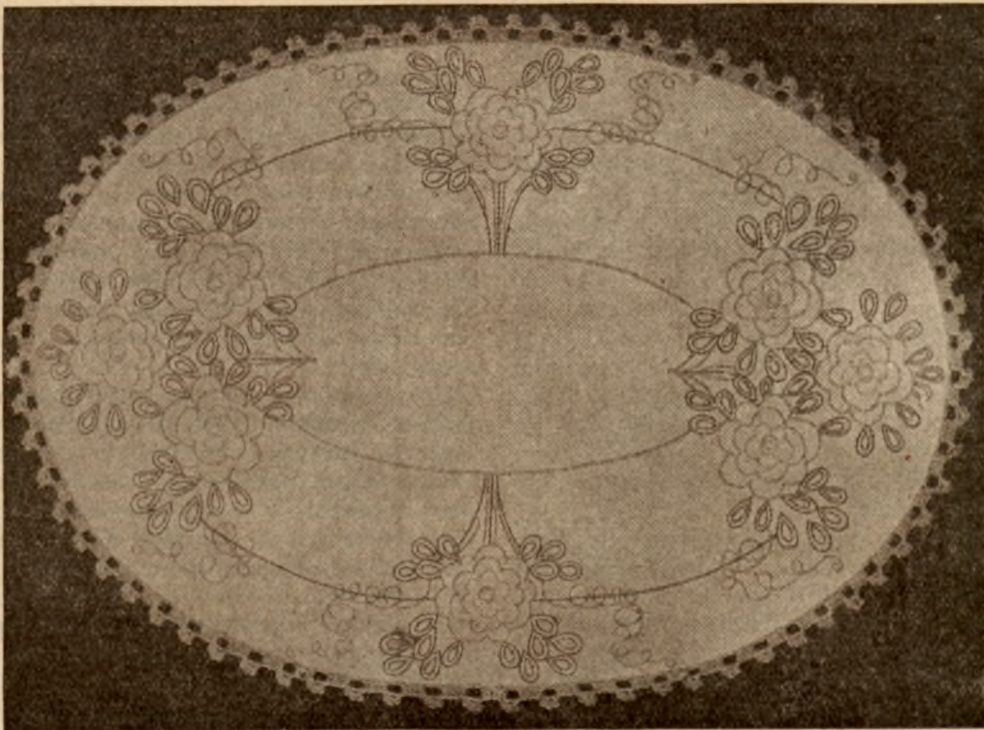
Trzeba szukać głębi czaru
W modrych falach mórz szemrzących,
Wśród złotego słońca żaru —
Wśród serc wielkich i płonących!

W zachodzących zórz purpurach,
W księżycowej, srebrnej jaśni,
W toniach jezior i lazurach —
Szukać trzeba czaru baśni!

Czarów głębi szukać trzeba
Wśród milczącej wiecznie głuszy,
Gdzie lśni cudny błękit nieba —
Na dnie samem ludzkiej duszy!...

Maryla Tomaszewska, ucz. VIII kl. gimn. SS. Urszulanek w Tarnowie.

ROBOTY RĘCZNE.



Wzór do haftu.

NASZE KÓŁKO KRAJOZNAWCZE.

Nasze Kółko rozwija się nadal pomyślnie. W celu teoretycznego przygotowania członkiń do pracy krajoznawczej i zaznajomienia ich z jej rozwojem, na zebraniach miesięcznych były wygłaszane i omawiane referaty, opracowane na podstawie poszczególnych numerów „Ziemi“ i „Orlego lotu“. Wzięłyśmy czynny udział w wystawie geograficznej, urządzonej przez Towarzystwo Krajozn. w Warszawie, wysyłając wykresy siły i kierunku wiatrów, wiejących we Lwowie w r. 1925.

W zimie staraniem Kółka został wygłoszony cykl odczytów o misjach w Azji i Afryce, z uwzględnieniem stosunków geograficznych i etnograficznych tam panujących. Połowę dochodu z tych odczytów przeznaczyłyśmy na misje syberyjskie. Oprócz misyjnych, był jeden odczyt o polskich legendach ludowych, ilustrowany przeźroczami.

Po Bożem Narodzeniu zostało przedstawione „Betlejem Polskie“ Rydla w naszej szopce. Poszczególne role odegrały lalki, zrobione ze szmatek. Figurki przedstawiające św. Rodzinę zakupiłyśmy rzeźbione.

Bibljoteka nasza powiększyła się o kilkanaście książeczek krajoznawczych, a zbiory o fotografje i okazy sztuki ludowej.

Przy końcu roku szkolnego zapisałyś-

my się do „Związku Kół Krajoznawczych młodzieży“ i zgłosiły do „Towarzystwa Ochrony Przyrody“.

Pozatem odbyło się kilka wycieczek. Przedewszystkiem zwiedziłyśmy katedrę Ormiańską we Lwowie. Najstarsza jej część została zbudowana około roku 1370 w stylu ormiańskim, na wzór katedry w Ani. Uwagę zwraca architektura, ornamentyka kuta w kamieniu, oraz kopuła i sklepienie ozdobione mozaiką prof. Mehoffera. Środkowa część katedry dobudowana została w r. 1630 w stylu renesansowym, obecnie odnowiona, ściany zdobią piękne obrazy art. mal. Rosena z r. 1926. Dziedziniec jest wyłożony grobowemi rzeźbionemi płytami. Wieża stoi osobno.

Również zwiedziłyśmy szkołę gospodarczą w Snopkowie i ochronkę przez nią założoną i utrzymywaną. Ponownie byłyśmy w szkole przemysłowej na wystawie prac szkolnych. Na uwagę zasługiwały piękne meble, wyroby kilimkarskie i alabastrowe, rysunki, batiki, a wkońcu wspaniały rzeźbiony ołtarz, przedstawiający śmierć Chrystusa na krzyżu, przeznaczony do jednego z kościołów.

Następnie zwiedziłyśmy muzeum przemysłowe. Jest to piękny gmach, specjalnie na muzeum przeznaczony i budowany. Mieszczą się w nim polskie i zagraniczne wyroby wszystkich gałęzi przemysłu artystycznego, z uwzględnieniem sztuki ludowej i kościelnej, oraz Miejska Galerja obrazów.

Ostatnią wycieczkę urządziłyśmy za miasto na Kortumową Górę, skąd obserwowałyśmy Roztocze, kotlinę Lwowa i osady podmiejskie. Obecnie na tej górze zostało ustawione pierwsze działo do strącania samolotów.

Tak przedstawia się praca naszego Kółka w ubiegłym roku szkolnym.

M. B.
Gimn. SS. Urszulanek we Lwowie.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także numer *listu, na który się odpowiada).*

422. Brzoza do Kseńki 421. Lubię bardzo „szarą godzinę“, lecz zwykle gdy się trochę ściemni, zaraz zapalam lampę i uczę się, bo mi żal utraconego czasu. „Szarą godzinę“ wykorzystuję podczas wakacyj, gdy w samotności słucham przez radjo dalekiego koncertu lub gry na fortepianie w przyległym pokoju i wtedy marzę o czemś tak idealnem, a niedosięgniętem przez takiego śmiertelnika, jakim ja jestem. Lubię też bardzo w „szarej godzinie“ siedzieć u stóp mej babci i słuchać jej baśni i wtedy zdaje mi się, że ja jestem tą zaczarowaną królewną, o której ona mówi i że po mnie miał przyjechać piękny królewicz. — Powiedz, jak Ty zapatrujesz się na to.

416. Listek brzozowy do Błędnego Ognika. Z książek historycznych mogę Ci polecić następujące: *Askenazego:* Książę Józef Poniatowski; *Hołoniewskiego:* Tadeusz Kościuszko; *Kutrzeby:* Koronacja królów i królowych w Polsce; *Przyborowskiego:* Przyczyny upadku Polski; *Śliwińskiego:* Powstanie Kościuszkowskie.

Jeżeli z przeczytania tych książek będziesz zadowolona, chętnie podam więcej.

423. Mimoza do Trójki 414. Z poetów najbardziej lubię Mickiewicza (innych znam mało). „Pana Tadeusza“ czytałam wiele razy, a za każdym razem wydaje mi się piękniejszy.

Szalenie lubię czytać książki o podróżach Juljusza Verne'go.

424. Chmura do Potoczka leśnego 384. „Cześć Marji“! Czy dawno już służysz Matuchnie naszej? Ja już przeszło 1 1/2 roku i bardzom szczęśliwa w tej służbie. Napisz coś o pracy w waszej sodalicji.

DO CZYTELNICZEK!

Z dniem 1-go stycznia rozpoczyna się konkurs na łamigłówki. Trzy razy do roku oblicza się punkta i naznacza nagrody. Pierwsze nagrody w maju!

ŁAMIGŁÓWKI.

Z DZIEDZINY MATEMATYKI

ułożyła Marylka Czajkowska.

1 zł. = 1 gr.! Nie wierzycie? Oto dowód: 1 zł. = 100 gr. = 10 gr. × 10 gr. = $\frac{1}{10}$ zł. × $\frac{1}{10}$ zł. = $\frac{1}{100}$ zł. = 1 gr. A może kto z matematyków wskaże błąd tkwiący w tem rozumowaniu?

*

DLA ŁACINNICZEK

ułożyła „Wielbicielka Nauki".

Zastąpić kropki literami tak, aby otrzymać znane przysłowie łacińskie.

D.. d... d / a.. s / p.. d.... r / a.. s / e. / r.. p.. e / f... m /.

*

SZARADA.

Pierwsze drugie — to półwysep, gdzie [północne oceany.
Trzecia druga ma podłogę, sufit oraz [cztery ściany...
Wszystka za króla drugiego drugiego
Służyła do jazdy rodzaju wszelkiego.

*

ZAGADKA.

Który wyraz ma setkę „s"?

ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK.

Z NUMERU 19-go 1927 r.:

ZADANIE LITERACKIE.

Za czasów Bolesława Śmiałego nie było w Polsce ziemniaków (dopiero XIX w.), kilimów (XV w.) hetmanów (XV w.), a szczerbiec służył tylko do uroczystości koronacyjnej.

SZARADA.

Łamigłówka.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

12660 : 1055 = 12.

DLA ŁACINNICZEK.

Ter—es—a.

ŁAMIGŁÓWKA.

Temistokles.

TREŚĆ Nr. 1.

Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro": Kwartalnie 3 zł., półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 zł. — W Ameryce 2 dolary.

Za dodatek „Mój Światek" prenumerujący „Dziś i Jutro" dopłacają rocznie zł. 3·50, półrocznie zł. 1·80, kwartalnie 90 gr., numer pojedynczy 15 gr.

Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.*

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.


DRVKARNIA·POLSKA
KRAKOW